Nr. 45. **Rok 14.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 6. Listopada 1847.*

Obrazek pół prawdziwy, pół fantastyczny. — Podanie ludu: O górach Szląskich. — Panna Postępowa (ciąg dalszy). — Treść zeszytu dziesiątego, roku drugiego pisma miesięcznego: Kościół i Szkoła.



Hansemann,
prezydent izby handlowéj w Akwisgranie, deputowany kuryi trzech stanów.

Camphausen,
prezydent izby handlowéj w Kolonii deputowany kuryi trzech stanów.

Obrazek pół prawdziwy, pół fantastyczny.

Człowiek rzucony na ziemię jako listek oberwany z wyniosłego drzewa, to w tę, to w owę polata stronę, skrzydły wiatrów miotany, wpada do strumienia i płynie po wierzchu fal, uniesiony pędem niewstrzymanym, często okręcony wirem, przykryty bałwanem, już zdaje się utonął, aż znowu gdzieś dalej wypływa nad fałdziste wody i ślizga się po wierzchu, to w głębi zanurzy. Ten listek, czy kwiatek, czy człowiek, myślisz, że się nie opiera, że bez skargi biegnie w stronę, w którą go niewidoma popchnęła potęga? O! jego żale, płacze i jęki, zmieszane z szumem strumienia, roztrącone o skały i wybrzeża, tak głucho pobrzmiewają w dali, że ich ucho ludzkie nie dosłyszy. Twarz mokra, obwita zasłoną, błyska raz po raz rąbkiem śrebrzystym tęschnoty, to różowym cierpienia, to sinym boleści, lecz piętrzące się bałwany nad jego czołem, chmurną mrużą powiekę i ciemnią tak osnują, że oko ludzkie z nad brzega nic nie dostrzeże, tylko zwyczajną wodę łamiącą się w fałdy, roztryskującą w miliony kropel, a z nich każda gra w kolory tęczy złudzonemu oku. O te siedm farb tęczowych, to siedm boleści. Jedna odbita na licu, druga na czole wyryta, trzecia na ustach osiadła, czwarta w oku migoce, piąta pierś okropnie rozpiéra, szósta kark nagina ku ziemi, a siódma osnuła duszę, jak motyl jedwabnik swą poczwarkę. — Kiedy wszystkie razem zabłysną, na licu i czole, na ustach i w oku, w pierś zagrzmią i całą postać zegną do ziemi, a duszy pod gęstą siatką dojrzeć nie można, wtedy jedno tylko ludzie widzą, smutek; — może żałobę, może i boleść, i pytają, co ci jest? czyś nie chory? Dzięki za litość! niech wam Bóg nagrodzi za współczucie! — Listek czy kwiatek, czy człowiek płynie dalej, a coraz gwałtowniejszym pędem zdąża do ujścia, aż nakoniec niknie w morzu nieskończoności.

Listek upadnie, kwiat zwiędnie, żal za niemi ludziom, ale krótki. — Człowiek rzucony na ziemię, pierwszych lat kilka żyje bez myśli, bez wyobrażeń o świecie, bez żalu porzuca cacko, którém się chwilkę zabawiał, żyje tém życiem rośliny, motyla, ptaszka; czas chwyta go w swym biegu, silnemi ramiony obejmuje i unosi z sobą dalej; to kres lat chłopięcych.

Duch wychodzi ze swego powicia jak młode ptasze z jajka, siedzi jeszcze czas niejaki w gniazdku, dopóki nie porośnie w piérze, dopóki mu lekkopióre nie wystrzelą skrzydła, wtedy wylata bez celu, to tu, to ówdzie spocznie, nieraz zabłądzi, aż sprowadzony przez troskliwą matkę, znowu w swoim osiada domku, chociażby na chwilkę. Kiedy już czas nadejdzie, że sam pobujać może po świecie, szalony wylata, nacieszyć się nie może złotemu słońcu, pięknemu światu i wszystkim innym cudom przyrody, podejmuje myśl swą ze ziemi, czepia się gdzieś wysoko, to gwiazd, to innych światów nieznanych i wszystkie chce zmieścić w swojém ciasném łonie.

Jakieś złote gwiazdki błyszczą przed nim; ku nim więc, ku nim goni, całe swoje istnienie osnuwa marzeniem, tworzy ideały, zapomina o ziemi, o cząstce bytu swego materyalnéj. Dla niego nie ma zawodu, nie widzi nic niepodobnego, myśl wyniosła ulata nad poziomem ponad skały, znużona spoczywa na ich szczycie i pędzi dalej a dalej w obłoki, to życie młodzieńca. — Jeżli gorycz piołunem napoi usta, jeżli boleść pierś rozedrze, jeżli dusza uderzy o strunę smutku; — wnet wyobraźnia do złotych gwiazdek się zwróci, gwiazdek nadziei, wszystko niknie jakoby za uderzeniem laski czarnoksięzkiéj, różany obłoczek uroku krasi wszystko, co go otacza, żyje jakoby we śnie; to jeszcze życie młodzieńca.

Bóg stwarza, człowiek stwarza, ale to omamienie! i tylko dumny młodzieniec woła w upojeniu radosném, olśniony zwodniczemi blaski mar swoich, że stworzył piękność doskonałą, cudo! Wszystko, co nazywamy stwarzaniem, twórczością w człowieku, jest to raczéj siła, która nazbierawszy mnóstwo pięknych rzeczy, jakiemi są: kwiaty, ptaki, gwiazdy śrebrnemi połyskujące oczęty, księżyc z pogodną twarzą, słońce z ognistém wejrzeniem, morze kryjące w swém łonie konchy perłowe, korale i ryb mnóstwo nieprzeliczone, zestawia to wszystko, ubiera w tysiączne barwy, których szuka w naturze; — okrywa szatą, po którą aż do nieba zachodzi, a wtedy zdaje się jemu, że coś stworzył. Nie! to tylko sztuczna, może nawet pyszna, wspaniała budowa, lecz materyały do niéj zebrane ze światów Bożych. — Tak żyje

młodzieniec w świecie marzeń, krainie poezyi, prawdziwéj dziedzinie ducha i, dobrze mu, błogo! — Lecz niechaj tak bieży po łąkach, niechaj zbiera kwiaty i ziółka, chwyta motyle i ptaszki, zdejmuje gwiazdki, pływa po morzach, przegląda się w zwierciadlanych strumyczkach, niechaj z tego wszystkiego cudną układa tkankę, ta jego życiu wkrótce nie starczy. W piersi inny zatętni ogień, ku innemu celowi zwróci się oko, do innego westchnie duch życia, gorąca żądza urzeczywistnienia mar niegdyś wyśnionych palić będzie jego wnętrzności, serce się zrywa do czynu, wszystkiemi siły do nowego dąży celu; — tu kres życia młodzieńczego. — Rozum dojrzalszy rozprasza senne, zwodnicze widzenia, umysł wyrywa się z koła zaklętego w pieśniach, rajskich krainach, fantastycznych wędrówkach, wszystko, co dotąd spoczywało pod złotem haftowaną zasłoną, niknie; — to już życie męża.

Nieraz w bystrym polocie potrąci skrzydłem o twardą skałę, nieraz zachwieje się nad przepaścią, zmruży oko przed palącym promieniem słońca, nieraz na posiłek wychyli czarę goryczy, zegnie umysł ku ziemi, wyniosłe czoło w rajskich opalone ogrodach, w brudnéj chłodzi wodzie. — Kiedy boleść zakrwawi miękkie jeszcze serce, zasłona opadnie z wielu przedmiotów, dotąd w promienne przybranych szaty, a one w całéj swojéj ukażą się nagości; — kiedy jęk wyrwany z zbolałéj duszy tysiąców przeniknie aż do głębi: wtedy gorąca łza żałoby upadnie na lice, pierś zawre ogniem, który doda hartu; — to hart duszy męża!

Takie myśli obsiadły mnie jednego wieczora, rzucałem się, to w tę, to w ową stronę, aby się wyrwać z przeklętego koła; wtém zbliża się do mnie postać nadziemska, bez wyrzeczenia jednego słowa unosi mnie z sobą; zmrużyłem powieki, a kiedy je otworzyłem, ujrzałem świat inny, ludzi innych.

Do koła wyniosłéj góry, na któréj stałem z moim towarzyszem, rozciągały się urodzajne niwy, porznięte wstęgami strumieni, ubarwione wieńcami lasów, ożywione śpiéwem ptasząt i rojami drobnych skrzydlatych stworzeń. — Z gorącą żądzą poznania mieszkańców téj krainy puściłem się z moim towarzyszem, szedłem przez błonia i lasy, ostre wież szczyty, promieńmi słońca ozłocone, ukazały się w dali; to jakieś miasto. Tłum ludzi cisnął się bramą, którą wejść chciałem. Ich ubiory tak rozmaite, tak dziwaczne, wszelakiéj barwy, kroju różnego; — piersi niektórych obwieszone mnóstwem gwiazdek, sprzączek, guziczków i t. p. świecących fraszek. — Z wyniosłéj postawy widna była wyższość ich w narodzie owym, z dumnego oka patrzyła pogarda i padała na karki tłumów, które się gięły pod ciężarem tego spojrzenia. Cisnęli się nędzarze, których po wychudłéj twarzy, łachmanach, ciało zaledwie okrywających, po boleści, wypiętnowanéj na całéj postaci, łatwo poznałem. Ciekawością zdjęty stanąłem na uboczu, patrzałem dokąd dążą, a kiedy brama pustkami stanęła, poszedłem za niémi. — Rozdzieliły się tłumy owe na dwie gromady. — Ludzie wyniosłéj postaci, w pyszne przybrani szaty, wznieśli swe prawice do góry; strojni w gwiazdki i sprzączki, wskazali lewą ręką na swe piersi; inni jakieś tarcze, w różne znaki pomalowane, ukazywali, a tłumy biednego ludu padły na twarze i czołgały się u stóp ich z jękiem i płaczem. Uśmiech szyderstwa przeleciał po ustach ludzi wyniosłych, oczy spoczęły pogardliwie na nędzarzach, tarzających się po ziemi. Potém wszyscy owi szydercy chwycili się za ręce, podnieśli swe stopy i deptali po głowach nędznego ludu, aż nie jedna pękła czaszka, nie jedno oko krwią nabiegło; wtedy krzyk rozpaczy, krzyk przerażający wydarł się z piersi tysiąców, a sprawcy ich bólu w głos się zaśmieli, lecz wkrótce umilkli, bo jak zdeptane gady zaczęły się tu i ówdzie podnosić głowy srodze pognębionych. Wściekłém okiem spojrzeli na swych ciemiężców, zerwali się ze ziemi; — ludzie wyniośli struchleli. Jedni rzucali swe tarcze, drudzy gwiazdki obrywali, niektórzy dłonie podawali nędzarzom na znak braterstwa, reszta zaś ratowała się ucieczką. Tłumy pognębionych rzuciły się jak sępy na struchlałych gnębicieli, szarpali w kawałki, wydzierali oczy, wyrywali języki i inne jeszcze okropniejsze, na ziemi naszéj wcale nie znane, zadawali męczarnie. Płacz i krzyk żałości rozdarł serce moje, krew nędznych ofiar twarz moję zbryzgała, przewodnik pociągnął mnie za sobą, zemdlałem.

Gdym uchylił powieki, niewiem po jak długim czasie, obaczyłem te same tłumy zgromadzone wśród miasta, między niemi wielu z dawniejszych ciemiężców; — naradzali się, co daléj począć. — Jeden z pośród nich powstał i

przemówił głosem donośnym: bracia! sąsiady nasze wielkoludy, które rok rocznie objadają nasze pola, pustoszą nasze siedziby, wkładają jarzmo niewoli na wszystkich ziemi naszéj mieszkańców, postanowili do szczętu nas wygładzić i to w sposób okropny, albowiem ciała nasze dla nich pójść mają na przysmaki, kości nasze psom na pożarcie, ziemia nasza im na wieczyste posiadanie. Weźmy się wszyscy razem, uderzmy na tych drapieżnych nieprzyjaciół naszych, bo inaczéj, jeźli ich teraz niewstrzymamy, zginęliśmy!

Po téj mowie, wszystkie tłumy, których była moc wielka, zakrzyczały razem: pójdźmy bić wielkoludów Tyhaonów, nieprzyjaciół naszych! — i rozeszli się wszyscy do domów swoich, zapewne czynić przygotowania do owéj wojny.

Kiedy wrzaskliwemi krzyki stutysięcznych tłumów, jakoby hukiem bałwanów burzliwego morza do snu ukołysany, po raz trzeci senną otwarłem powiekę, ze szczytu téj saméj góry, też same co raz pierwszy widziałem łany, tych samych ludzi zgromadzonych opodal miasta. Ludzie wyniośli z ręką wzniesioną do góry wskazywali z szatańską radością na nędzarzy tarzających się w pyle ziemi. Nie jedno ciche uleciało westchnienie, nie jedna krwawa łza pociekła, tysiące stłumionych złorzeczeń i przekleństw skonało na ustach, zanim je wiatry do uszu ciemiężców zanieść mogły. Dziwno mi było widzieć tych samych ludzi, niedawno po bratersku ręce sobie dających, dzisiaj znów rozdzielonych. Podli! zaparli się imienia, wyrzekli się pychy, swe mienie losom zostawili, ale tylko, aby olśnić tak zwodniczemi pozory nędzarzów, a siebie zachować od zguby.

Przewodnik mój wskazał do koła na zbrojne hufce w oddaleniu, to ludzie olbrzymy, drapieżni sąsiedzi, otoczyli wieńcem skłóconych, wyciągnęli staliste prawice i koło coraz bardziéj zwężali, depcząc po karkach ludu na ziemi, popychając nań szyderców. Ci gdy się obejrzeli do koła, trwoga i boleść uleciały nad ich głowami, lecz już było zapóźno. Lud jęczał pod ciężarem boleści wszelkiego rodzaju, oni stali w miejscu z załamanemi rękoma, z rozpaczą na czole wyrytą, a olbrzymy Tyhaony parli coraz bardziéj. — Zrozumiałem wszystko, przekleństwo zdrajcom! — Udręczony okropnemi widowiskami nieznanego świata, popadłem w sen długi, a kiedy ocknąłem, ujrzałem się na ziemi, wśród pola. — Do koła panował spokój; księżyc osuty obszerną szatą niebieskiéj barwy, patrzył pogodnie na błonia, uśmiéchał się do ciemnych lasów, gładził ich zielone włosy, muskał trawę i zioła i kwiaty, w perłach rosy skąpane, zazierał ciekawie do gniazd ptasząt, śledził mieszkańców leśnych; gwiazdki mrugały ku sobie drobnemi oczęty, ludzie spoczywali snem złożeni. Zimny dreszcz przeszedł po mém ciele na wspomnienie tego, na co nie dawno patrzyłem; radość uczułem niepojętą, żem już zdala od okropnych obrazów. Przecież na naszéj ziemi nie masz nic podobnego! — z tą myślą pocieszającą powróciłem do domu.

Borowo, dnia 17. Lipca 1847.

H. F.

O górach Szląskich.

(Podanie ludu Górno-szląskiego.)

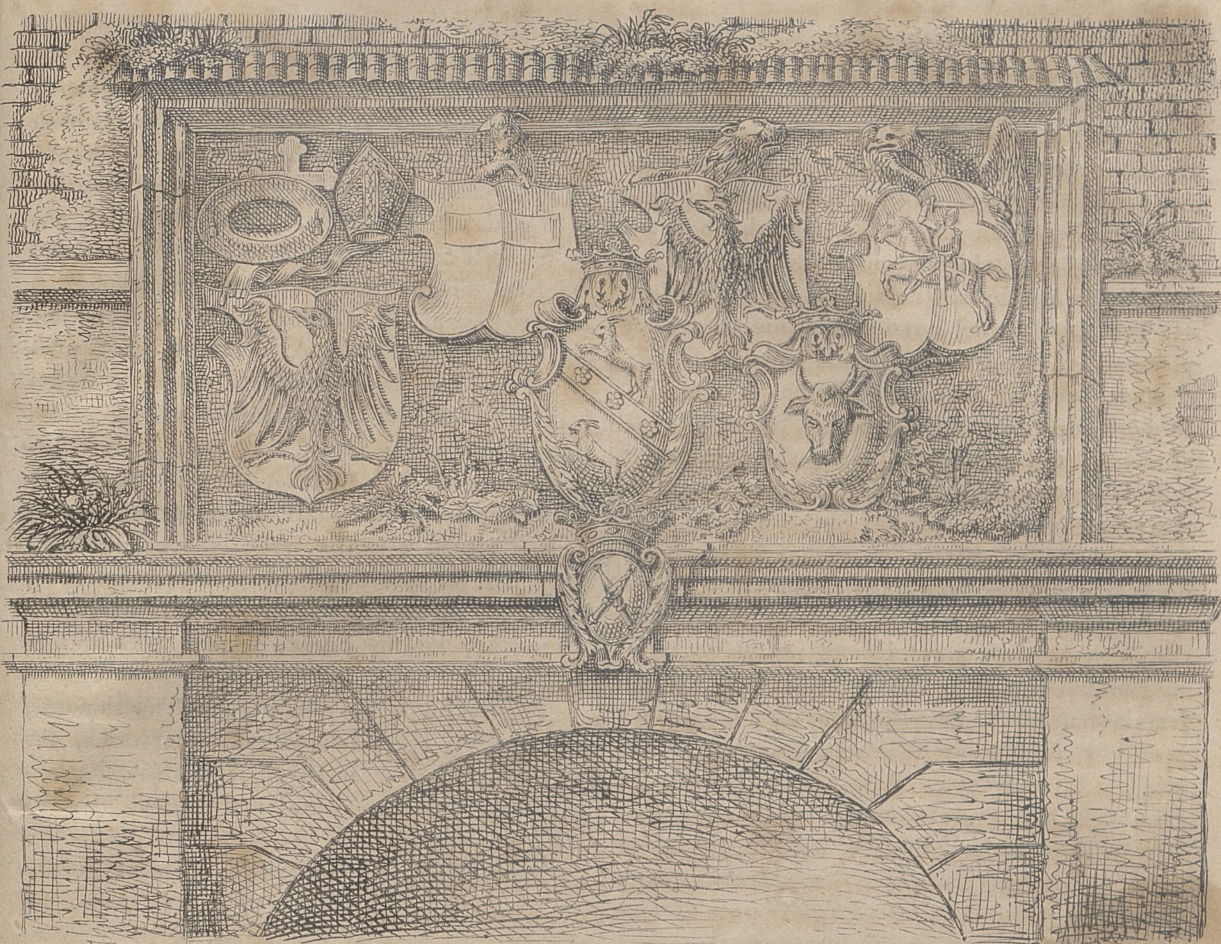
Powiadają, że niegdyś diabli chcieli cały Szląsk zatopić i zaczęli już za Świdnicą groble sypać, znosząc ku temu ziemię we workach; a który diabeł był mocniejszy, ten większą zaspę ułożył i stąd powstały owe nierówne garby na górach tamtejszych. Już cały Szląsk od zachodniéj strony takową groblą byli otoczyli, ale gdy od strony Polski ku Wrocławiowi się obracali, nagle kur był zapiał i wszyscy uciekać, a sprawy rozpoczętéj zaniechać musieli. — Jezioro, które jest w górach Karpackich, a które tam czarci z morza przyprowadzili i po dziś dzień *okiem morskiém* się nazywa, mieli mieć w pogotowiu, dopókiby z robotą niebyli gotowi; bo wtedy dopiero mieli owo jezioro spuścić i Szląsk cały zalać.

Panna Postępowa.

(Ciąg dalszy.)

Gdy pan Władysław wyzdrowiał i wychodzić zaczął, podziękował z wyrazem pełnym powagi za przytułek, który mu dali i za starania, których doznał. Na wymówki, na użalania się gospodarza domu, że stracił tak piękne konie, odpowiedział obojętnym uśmiéchem, i prosił na wszystko majora, aby o tém nie myślał wcale.

Ułożenie jego było pełne godności i dobre-



Rzeźba nad bramą Kollegium Sgo Jana w Krakowie.

go tonu. Ubiór zawsze czarny, ale nadzwyczajnie staranny; głos dźwięczny, rozmowa łatwa, ale seryo, wyraz téj bladéj twarzy pełen surowéj melancholii. Nie widać w niéj było miękkiéj tkliwości, ale przebijał się jakiś skoncentrowany i głęboki smutek. Czasem tylko gdy oczy jego zbiegły się z oczami panny Salomei, błysnął w nich nagły, niepojęty, przenikający ogień, który przeszywał ją boleśnie jak iskra elektryczna, a ciągnął ku sobie jak magnes. Panna Salomea zrobiła się dziwnie skromna, milcząca i zamyślona. Bała się rozpocząć z nim ulubionych dawniéj dysput; nie śmiała złożyć swych ślicznych ustek do owego ironicznego uśmiechu, który był im zwyczajnym, a przecież nie mogła się oprzéć niepojętemu pociągowi, który ją porywał ku niemu gwałtownie, boleśnie. Bała się go, drżała jak listek na tę myśl, że jéj przyjdzie kiedyś oprzéć się na téj ręce, oddać jego objęciu, puścić się w świat széroki z człowiekiem nieznajomym, dziwnym, niepojętym. A przecież czuła, że inaczéj być nie może, że będzie posłuszną jego skinieniu, że pójdzie gdy każe, że z zamierającą duszą uchwyci się jego szyi i rzuci się z nim choćby w tę przepaść, którą w śnie piérwszéj nocy widziała. Kochała go biédna nadzwyczajnie; ale nie byłato owa święta, spokojna tkliwość, owo wylanie myśli szczére i ze dna duszy; owo bezpieczeństwo zobopólne kochającéj się po bożemu pary, wierzącéj w siebie i w przyszłość, pewnéj, że Bóg łączy ich ręce, że nad ich zbliżonemi do siebie głowami skrzydła aniołów jego czuwają. Jéj przywiązanie było silnym, bolesnym, nieprzezwyciężonym pociągiem, niepodsycanym z jego

strony żadnemi zabiegami, nie karmionėm żadném staraniem. Panna Salomea czuła się niezmiernie nieszczęśliwą; drżała, gdy do niéj mówił; bladła, gdy się do niéj zbliżał; ale gdy na nią spojrzał, gdy postrzegła w jego oczach ten blask niepojęty, szła ku niemu sama, tuliła się w myśli na jego łonie, i gdyby był tego zażądał, w obliczu rodziców, w obec stu świadków byłaby się rzuciła w jego objęcia.

Tak gwałtownéj namiętności nie mogli nie postrzedz rodzice, nie mogli nie widzieć odwiédzający dom ich goście. Państwo S* nie mieli wprawdzie nic do zarzucenia panu Władysławowi; tak poważném, tak pełném godności było jego postępowanie, tak ujmujące, tak światłe jego rozmowy. Unikał on widocznie zejścia się sam na sam z ich córką, żadnych jéj nigdy nie prawił grzeczności, a przecież w sercach tych prostodusznych i religijnych ludzi tkwił jakiś nieprzezwyciężony wstręt do człowieka, którego całe zjawienie się było tak tajemniczém, tak nadzwyczajném, którego bytu i jestestwa nikt sobie dobrze wytłumaczyć nie mógł. Wszyscy jednak łamali sobie na tém głowy. Ta tylko, co dawniéj każdą rzecz rozbiérała i szukała zasady: czemu drży serce przy majestatycznym zachodzie słońca, czemu dziecko wyciąga rączki z kolébki przy zbliżeniu się matki, ta tylko nie rezonowała wcale, nie dochodziła skąd on, dokąd idzie, ale ślepo bez żadnego zastanowienia, posłuszna była jego skinieniu; jak okruszyna żelaza lgnie do magnesu, tak ona lgnęła do jego twarzy, i całą duszą, całą swą istotą powodowała się jego magicznemu wejrzeniu.

— Saluniu droga, ty się gubisz, rzekła raz matka.

— Dla czego moja mamo! jam szczęśliwa.

— Ale patrz, jaki on dla ciebie zimny, jaki obojętny, dodała matka.

— To nic, mamo, tém więcéj go kocham.

— Ale on ciebie nie kocha wcale.

— Mniejsza o to, ja powinnam mu być posłuszną, odpowiedziała córka, drżąc i blednąc.

— Czegóż tak drżysz i bledniesz moje dziécię? ty się go boisz.

— Boję się go mamo bardzo.

— To ja mu powiem, żeby sobie jechał.

— Nie mów droga matko, bo ja umrę, dodała panna Salomea, tuląc się na łonie matki.

— O! nieszczęście jakieś dotknęło nas, zawołała pani S*, ściskając córkę i mocno płacząc.

Tak przeszło parę tygodni do zupełnego wyzdrowienia pana Władysława, który żadném słowem nie zdradził swojéj tajemnicy, nigdy się nie wymówił, dokąd jechał, po co tu przybył, gdzie się daléj uda. Chociaż widział, jaką ma władzę nad sercem panny Salomei, ani rodzicom nie wyjawił swoich względem niéj zamiarów, ani jéj, biédnéj, żadném słówkiem nie odkrył swoich uczuć. Czasem tylko wlepił w nią na chwilę wzrok przenikający, i wówczas wszelka wola słabła w tém sercu, niegdyś tak energiczném. W życiu pana Władysława nie było nic szczególnego. Rano pracował, potém przychodził na śniadanie, rozmawiał z ojcem, z matką, rzadzéj z panną Salomeą; dał jéj czasem jaką Angielską książeczkę, bo ten język bardzo lubił; objaśnił, czego nie rozumiała, bo nie bardzo jeszcze była w nim biegłą.

W wieczór tylko gdzieś znikał na samotnéj przechadzce, i to zastanowiało wszystkich, dawało powód do rozmaitych domysłów, i przypominało owe nadnaturalne zniknienie ludzi i koni.

Szczególniéj ta okoliczność uderzała każdego i majora i w okolicy, po któréj się to już rozeszło, że chociaż wiedziano, iż go w domu niéma, nikt go nigdzie i nigdy w tych samotnych przechadzkach nie spotkał.

W tym właśnie czasie pan Władysław, który już wyzdrowiał zupełnie i którego kocz był wyreperowany, wspomniał coś o wyjeździe. Państwo S* nie mówili ani słowa; radzi, że spadnie z ich serca ten ciężar, który jak kamień ich przygniatał. Ale panna Salomea na samą wzmiankę jego wyjazdu czuła się bliską rozpaczy. Blada, ze ściśnionėm sercem, chodziła wpół żywa. Nie śmiała sama zacząć z nim rozmowy; a on żadném słowem nie pocieszył jéj, nie zachęcił do otwartego wylania się; nic ani o żalu swoim, że ją opuszcza, nie powiedział, nic o powrocie nie wspomniał. Miał wyjechać w nocy 19. Czerwca, w sam dzień imienin pani S*, na który dużo z okolicy zjechało się gości.

Po dość późnym obiedzie, gdy wszyscy zebrani byli w ogrodzie, całe niebo zaciągnęło się nagle chmurami, dalekie odezwały się grzmoty, dészcz zaczął padać i burza nadchodziła.

Schronili się więc goście do pokoju, pozamykano okna, i cała kompania usadowiwszy się w różnych grupach, bawiła się rozmową. Tymczasem chmury coraz gęstsze zakrywały horyzont; nasuwały się jedna na drugą, mieniąc straszne swe oblicze i przybierając groźne kolory. Huk jakiś głuchy rozlegał się zdaleka, kiedyniekiedy błyskawica przeszywała ciemne i wzburzone obłoki. Gdy rozmowa prawie ustała pod wpływem téj mimowolnéj trwogi, jakiéj doznaje słaba ziemska istota, patrząc na zagniewane niebo, dał się słyszéć tentent na dziedzińcu i wpadł konno jeden z młodych sąsiadów majora, uciekający widać szybko przed nadchodzącą burzą. Gdy wszedł do pokoju i spojrzał na pana Władysława, stanął jak wryty i na twarzy jego wyraził się jakiś przestrach i zadziwienie.

— Czy pan mię piérwszy raz widzisz? zapytał zimno pan Władysław, żeś się tak zadziwił?

— Dziwi mię to, odpowiedział młodzieniec, że pana tu widzę. Przed kwadransem widziałem pana o pół mili stąd, pędzącego przez pole na karym koniu, w stronę zupełnie przeciwną temu domowi. — Wszyscy przytomni spojrzeli po sobie; jedni się uśmiéchnęli z niedowiarstwem, inni dziwną przejęci trwogą, odsunęli się z krzesłami, a pani S* uchwyciła za rękę pannę Salomeę i trzymała ją przy sobie.

Rzeczywiście, przed kwadransem pan Władysław oddalił się był z kompanii do swego pokoju, skąd przyniósł Angielskie album z portretami najpiękniejszych kobiét Anglii. Obecne damy żądały to widziéć; gdyż jedne spodziewały się tam znaleźć jakieś podobieństwo do siebie, inne bały się, czy nie ma jakiego podobieństwa do sąsiadek. Nieobecność ta jednak pana Władysława nie trwała więcéj jak dziesięć minut.

— Przywidziało ci się, kochany Auguście, rzekł gospodarz, pan Władysław nie wychodził dziś nigdzie.

— Musiałeś jakiego Żyda galopującego widzieć zdaleka, rzekł jeden młody człowiek.

— Nie koniecznie potrzebnym tu był Żyd, odpowiedział z powagą pan Władysław. Są w naturze rzeczy nadzwyczajne, które zwykle w stanie wzburzonéj atmosfery objawiają się ludziom. Bo nie jest to próżny i teatralny wymysł, że wszystkim widzeniom nadprzyrodzonym towarzyszy grzmot i błyskawica. Porządek zwykły, codzienny, naturalny, zmienia się tylko dla przestrogi śmiertelnych, zbyt zaufanych we własne siły i zapominających, że ziemia tajemnemi nićmi powiązana jest ze światem zazmysłowym i zarozumowym. Przestróg tych udziela natura niechętnie, z musu, a zatém z gniéwem i groźbą; a najwidoczniejszym dla ludzi wyrazem jéj gniéwu jest burza, przed którą najzuchwalszy śmiałek na twarz upada. Dlatego nie mam panu za złe, żeś się strworzył i zadziwił. Twierdzę tylko to, żem był w domu i nigdzie się nie oddalał; ale nie zaprzeczam bynajmniéj, żeś pan mnie widział. To być bardzo może.

Te słowa wymówione z mocą, jak iskra elektryczna rozbiegły się po obecnych i niejedna twarz pobladła. Panna Salomea zadrżała w głębi duszy, nie śmiała się odezwać, nie śmiała na niego oczu podnieść. Wszystkie jéj dawniejsze argumenta, jak broń pordzewiała i połamana, leżały bez użytku. Wszakże niektórzy z młodych, nie pokonani tak jak nasza ex-filozofka, ze zwykłą nam chęcią argumentowania na wiatr, wszczęli o tym przedmiocie dysputę. Znaleźli się przeciwnicy, zwłaszcza między starszemi, co ich zbijali faktami. Taką drogą od sporów, przeszła rozmowa do opowiadań wypadków nadzwyczajnych, w które nibyto nie wierzymy dla mody, z których uśmiéchamy się dla pokazania rozumu, a które w głębi duszy znajdują interes i jakieś niewytłumaczone i niepojęte echo.

— Gadajcie sobie panowie młodzi co chcecie, rzekł gospodarz, przyjaciel wszelkich dykteryek, ale w tém nikt mnie nie przekona, żem wtenczas spał, gdy mi się zdarzyło, co powiém. W r. 1809 pułk nasz został w Hiszpanii; tylko szwadron jeden odkomenderowano do Niemiec. W tym szwadronie byłem i ja. Wychodziłem bardzo smutny. Nie żal mi było Hiszpańskiego nieba i czarnych oczów Hiszpanek, bo niebo nas piekło, a czarne oczy patrzyły nie z miłością, ale z groźbą. Lecz żal mi było przyjaciela jedynego, serdecznego, który zostawał w drugim szwadronie. Byłto człowiek śmiały i dobry, ale zawsze smutny, jakby coś złego przeczuwał. Ten jego stan tém bardziéj mnie trwożył, że to nie był religiant, niezupełnie wierzył w miłosierdzie Boże, i nie szukał pociechy w modlitwie. Gdyśmy przyszli

do Niemiec, rozlokowano nasz oddział nie daleko od Erfurtu, a mój szwadron i mnie w maleńkiéj wiosce, gdzie był zamek niezamieszkały, chociaż jeszcze w dobrym stanie i z całkowitém staroświeckiém umeblowaniem. Miałem trzy ogromne pokoje z marmurową posadzką, z wysokiemi krzesłami, ze stołami pokrytemi marmurem. W kolosalnych kominach marmurowych szumiał wiatr, a portrety na ścianach zdały się wytrzeszczać na mnie wielkie i jaskrawe oczy. Mój wiarus układł się sobie w piérwszym pokoju w najutulniejszym kącie, podłożył ładownicę pod głowę, obwinął się płaszczem, i zaczął w najlepsze chrapać; ja zaś, zamknąłem wchodowe drzwi na klucz, przymknąłem dwoje drzwi za sobą, i udałem się aż do trzeciego pokoju, gdzie stało wielkie łoże. Położyłem się także, postawiwszy świécę na stole i pod ręką mając pałasz i pistolety. Ale gdzie tam! sen ani brał się do moich powiek. Oprócz przypomnień różnych powieści o opuszczonych zamkach, o których kiedykolwiek słyszałem, przeszkadzało mi jeszcze chrapanie mojego wiarusa, rozlegające się najdziwniejszém echem po pustych pokojach, i łączące się w jakąś dziwaczną oktawę ze świstem wiatru, który grał sobie w kominach. Na takiéj męczącéj bezsenności przeszło mi godzin więcéj niż dwie. Już noc była głęboka, gdy nagle zdało mi się, że słyszę stuk zamka we drzwiach wchodowych. Usiadłem na łożu, i chwyciłem pistolet, odwiodłszy oba kurki. Po chwili, usłyszałem wyraźnie w piérwszym pokoju chód ciężki i silny, dzwonienie ostróg i brzęk sunącego się po posadzce pałasza. Porwałem się z łóżka, i po chwili namysłu, wniosłem, że to zapewne mój ułan musi sobie wędrować pociemku. Dla przekonania się, zbliżyłem się do drzwi średniego pokoju, i usłyszałem harmonią jego nosową, rozlegającą się zawzięcie i dochodzącą najwyższych tonów. Wówczas dreszcz mimowolny przejął mię. Chód i brzęk już był w średnim pokoju, i widocznie ktoś inny się przybliżał. Nie było czego czekać. Otwarłem raptem drzwi, gotów do odparcia napastnika. Ale jakież było moje podziwienie, gdym obaczył na środku pokoju — mojego przyjaciela. Twarz jego była blada, ale spokojna, i uśmiéch na ustach. Widziałem go tak wyraźnie, jak widzę panów. Zapomniałem się na chwilę, rzuciłem pistolet, i z wyciągnionemi rękami chciałem biedz ku niemu. On mi dał znak, abym się zatrzymał. Stanąłem jak wryty, i zimno niepojęte zatrzymało bieg krwi w moich żyłach. Mój przyjaciel położywszy rękę na sercu, podniósł ją w górę, jakby ukazując niebo; potém przeżegnał mnie zdaleka, odwrócił się i poszedł. Nie słyszałem już jego kroków, gdy odchodził, ani brzęku szabli po posadzce, ani stuku zamka we drzwiach wychodowych. Gdym się opamiętał, wszedłem do piérwszego pokoju; drzwi były na klucz zamknięte, jakem je zostawił, mój wiarus chrapał, a wiatr świstał w kominie. Wróciłem nazad; zastałem swój pistolet na ziemi. Podjąłem go smutny i zamyślony, i klęknąwszy przy łożu, długo, długo modliłem się gorąco. We trzy miesiące odebrałem list z Hiszpanii od innego kolegi, do któregom zaraz nazajutrz pisał, że mój biedny przyjaciel téjże saméj nocy, w jakiéjś zasadzce okrutnie zamordowanym został.

(Dokończenie nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański*.)